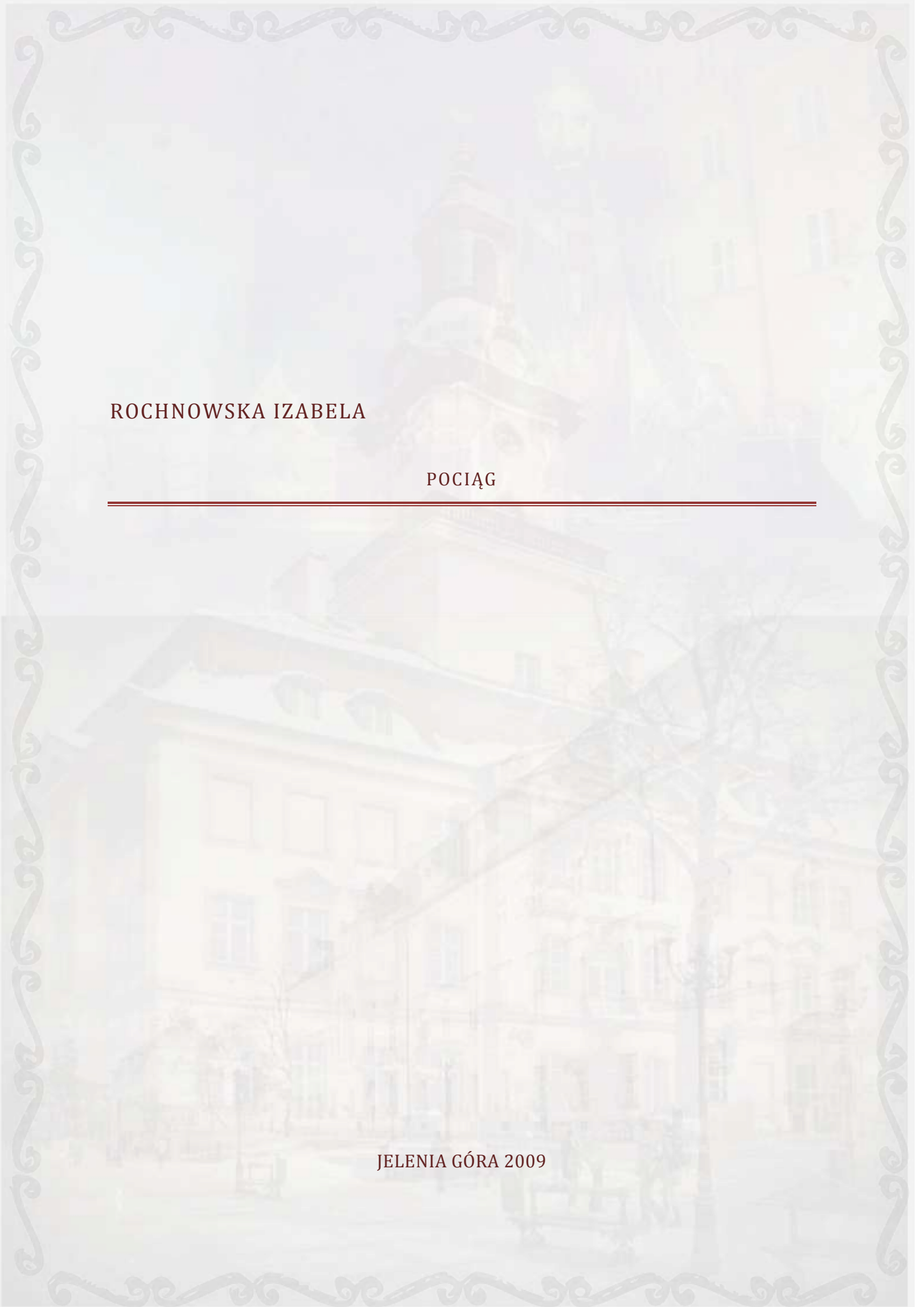




ROCHNOWSKA IZABELA

POCIĄG

---

JELENIA GÓRA 2009

Głęboka noc. Usiłuję zasnąć. Wokół cisza, tylko gdzieś dudni pociąg, a stukot kół przywołuje dalekie wspomnienia z dzieciństwa. Przemykam oczy i widzę... Spadł pierwszy śnieg. Izba lekcyjna w wiejskiej szkółce. Dzieci, różne wiekiem i wzrostem, siedzą w ławkach. Czytają. Piszą. Nagle zatrzęsła się ziemia, łoskot kół, gwizd parowozu. Uczniowie nie czekając na pozwolenie nauczycielki, rzucają się do okien.

Wielkie wydarzenie! Po torach położonych wzdłuż asfaltowej szosy jedzie pierwszy pociąg relacji Lwówek Śląski – Świeradów.

Jest rok 1947. Wśród nosków przylepionych do szyb jest i mój. Mam 7 lat, a nauczycielka to moja mama.

Ten trzywagonowy skład jest już drugim ważnym pociągiem w moim krótkim życiu. Dwa lata wcześniej jechaliśmy tym środkiem lokomocji, jako repatrianci z Polesia przez Brześć na Ziemię Odzyskane.

Ojciec, mama, ja i chorująca na przewlekłą biegunkę siostra znaleźliśmy się w towarowym wagonie w towarzystwie jeszcze jednej rodziny i samotnej pani oczekującej dziecka.

W pociągu toczyło się nasze życie. Tutaj spaliśmy, gotowaliśmy, chorowaliśmy i wykonywaliśmy wszystkie czynności, których wymagało bieżące życie. W składzie był również odkryty wagon dla bydła. Kto miał i mógł, zabrał ze sobą krowę lub kozę. My także wzięliśmy swoje bydłatko. Panienkę – tak nazywała się nasza żywicielka – podarował nam dziadek Korzeniewicz, zanim jeszcze wywieźli go na Syberię. Nie dojechał zresztą do tego piekła. Umarł w drodze. Pochowany został nie wiadomo gdzie i przez kogo.

Przepadałam za naszą krówką. Była śliczna i bardzo mądra. Kiedy urodziła cielaka, potrafiła, z tęsknoty za nim, uciekać z najdalszego pastwiska, otwierając sobie rogami wszystkie bramy, jakie napotykała po drodze do obory. Wagon, w którym jechała z innymi towarzyszami, był nieprzystosowany do przewozu bydła. Gnojówka nie miała odpływu i dojąc krowy, kobiety brodziły w niej niemal do kolan. Pamiętam, jak mama rano i wieczorem wkładała za duże na nią „oficerki” – takie buty z cholewami – i szła doić Panienkę. Buciska te zdobył gdzieś ojciec. Zaraz po wojnie były „krzykiem mody”. Jadąc, mijaliśmy spalone domy, zniszczone miasta, a nawet dymiące jeszcze jakieś ruiny. W przeciwną do naszej strony jechały pociągi oblepione żołnierzami rosyjskimi wracającymi z frontu. To byli ci szczęśliwcy, którym udało się wymknąć śmierci.

Dziwiłam się, jako dziecko, że są tacy odważni i nie boją się siedzieć, a nawet stać na dachu wagonu podczas jazdy.

Zatrzymywaliśmy się często i na dłuższe postoje. Jeżeli było to w pobliżu większego miasta, mama brała chorą siostrę na ręce i szła szukać lekarza. Robiła to, biedna przez całą drogę, bo dziecko cały czas chorowało. Ojciec z innymi mężczyznami udawali się na poszukiwanie żywności dla nas i dla bydła.

Na postojach rozpalano ogniska, gotowano strawę. Pamiętam łyzy w oczach mamy, kiedy uciekł nam kogucik, z którego chciała ugotować rosółek dla dzieci. Zdarzało się, że pociąg odjeżdżał wcześniej niż przewidywano, a wtedy buszujące po okolicy dzieciaki nie zdążyły wrócić. Dowożono je potem po jakimś czasie. Jeżeli jechało się cały dzień, jadło gotowano w wagonie na rozłożonych na podłodze ceglach. Bardzo trudno było utrzymać higienę. Prawie wszyscy mieli wszy. Transport repatriantów trwał około 6 tygodni.

28 września 1945 roku przybyliśmy do wsi Maciejowiec (dzisiaj Pławna) w powiecie lwóweckim. Rodzice nie chcieli mieszkać w mieście. Bali się, że tam trudniej będzie utrzymać rodzinę. Oboje z wykształcenia byli nauczycielami. Mama, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Mielcu w 1929 roku, otrzymała posadę na Polesiu. Tam poznała mego ojca – Poleszuka z dziada pradziada. Pobrali się w 1938 roku i tamże, pod bombami, urodziły się ich dwie córki Izabela (autorka) w 1940 r. i Anna w 1944 r. Zaraz po przyjeździe do Pławnej (w 1945 rok wieś nazywała się Maciejowiec, potem Rudzisk, a dopiero w 1948 roku nadano jej nazwę Pławna) rodzice zgłosili się w Polskim Urzędzie Repatriacyjnym we Lwówku Śląskim i z dniem 1 października otrzymali angaż, jako pedagodzy.

Mieszkanie dostali w poniemieckiej szkole. Co zastaliśmy w naszym nowym domu? Przede wszystkim gołe ściany, bo był pozbawiony wszelkich mebli. Poprzednicy – Rosjanie wywieźli wszystko, co nie było pomocami naukowymi. Początkowo spaliliśmy na podłodze. Potem ojciec przywiózł jakieś sprzęty. W czasie wojny żołnierze radzieccy urządzili w przydzielonej nam szkole szpital. W najładniejszym pokoju – na parterze – była sala operacyjna. Musiało tu być wiele cierpienia, nieszczęścia i śmierci, bo w budynku tym działy się dziwne rzeczy. W niektórych pomieszczeniach słychać było jakieś szумы. Kiedyś – ni tego ni z owego – rozległ się straszny huk w kuchni, jak gdyby piorun w coś uderzył. Innym razem nagle spadł obraz ze ściany. Wisiał na haczyku i żeby spaść, musiał dźwignąć się do góry. To jest to, co pamiętam. Mama, która nie była ani

trochę przesądna, mogłaby powiedzieć więcej. Niestety, nie żyje. Zmarła w 1985 roku. Sam dom był duży, ładnie położony. Z tyłu budynku płynął strumyk Kózka. Wtedy były w nim smaczne pstrągi. Dzieci brodziły z siatką po wodzie i czasem coś złapały. Z przodu było duże podwórko zamienione w letnią salę gimnastyczną. Stały tam poręcze do ćwiczeń, drążki, skocznia. Połowę parteru – zachodnią – zajmowała dość duża izba lekcyjna. Wchodziło się do niej z korytarza, gdzie były wieszaki na płaszcze uczniów idzwonek na sznurku, którym przyzywano na lekcje lub oznajmiano przerwę. Na piętrze znajdowały się dwa ładne pokoje i komórki ze ściętym dachem, gdzie przechowywano pomoce naukowe. Oczywiście niemieckie. Te spośród nich, które można było, rodzice przekształcili na użytek w polskiej szkole. Były tam mapy, wypchane ptaki: myszołów, jastrzęb, cietrzew, głuszec i inne, różne obrazy dla małych dzieci (I i II klasa), nuty (mama grała na skrzypcach) no i oczywiście książki – rodzice oboje władali niemieckim. Organizowanie szkoły zaczęło się od ... egzaminowania kandydatów na uczniów. Było to, w większości, spóźnione pokolenie, któremu wojna ukradła parę lat życia. Rodzice, wraz z inną jeszcze nauczycielką, sprawdzali, co dzieci już umieją i w zależności od wiedzy kierowali je do klasy pierwszej, drugiej, trzeciej... Z tą wiedzą było różnie. Jedne dzieci były uczone w czasie wojny, innych nie miał, kto wprowadzić w świat literek, bo tato i mama byli niepiśmienni. Skład uczniów w klasie wyglądał tak, że między najmłodszym dzieckiem, a najstarszym różnica wieku wynosiła parę lat. W pierwszych latach po wojnie (1945, 1946, 1947) nauka odbywała się w ten sposób, że łączono klasę I z II, III z IV itp.

Należy podkreślić, iż repatrianci w Pławnej w większości, składali się z przybyszy z województwa tarnopolskiego. (Osadnicy wojskowi. Żołnierze pierwsze linii frontu). Językiem, jakim się posługiwali, był gwarowy ukraiński. Po polsku (język też Nieliteracki) mówili tylko „od święta”, a więc z nauczycielem, księdzem, w urzędach, w sklepach. Utrudniało to bardzo pracę pedagogom, a zwłaszcza mojej mamie, która uczyła języka polskiego. Młodzieży przybywało. Ja zaczęłam uczestniczyć w zajęciach szkolnych mając 5 lat.

Mama nie miała, z kim mnie zostawić, więc wołała, jak siedziałam u niej na lekcji. Siostra miała opiekunkę Niemkę, a potem chodziła do ochronki prowadzonej przez zakonnice. W Pławnej był klasztor, a siostry bardzo angażowały się w pomoc mieszkańcom wsi. Prowadziły ochronkę – takie dzisiejsze przedszkole – robiły zastrzyki,

stawiały przeziębionym bańki, opatrywały rany. Pomagały też przygotować jasełka, uczyły dzieci religii, urządzały śniadanka dla dzieci pierwszokomunijnych. W latach 50-tych mniszki w brutalny sposób wywieziono, a klasztor zaczął służyć różnym innym celom – także, jako miejsce lekcji.

Jeszcze dwa lata po wojnie wraz z Polakami mieszkali Niemcy. Gospodarstwa niemieckie były bardzo porządnie prowadzone. Czyste, wyposażone w maszyny rolnicze i takie, które ułatwiały prace domowe. Pamiętam, że u sąsiadów było kręcone korbą specjalne urządzenie do mycia dużych ilości ziemniaków (baraboli – tak nazywali kartofle Tarnopolanie). Stała też u nich centryfuga oddzielająca śmietanę od mleka. Ciekawa również była elektryczna masło bojka – taka wirująca beczka do robienia masła. W ogrodach kwitły obficie kwiaty – szczególnie dużo było różowych peonii o bardzo intensywnym zapachu. Najpiękniejsze róże, w rozmaitych kolorach, miał Niemiec Zelmann. Był to bardzo elegancki, kulturalny starszy pan. Zapamiętałam go, bo często przychodził do moich rodziców na wieczorne pogawędki, a także, dlatego, że raz przyniósł im piękny pierścionek z brylantem na sprzedaż. Niestety, nie kupili tego klejnociku. Zabrakło fun54 duszy. Nasi chłopcy żyli zgodnie z Niemcami, do których zostali dokwaterowani. Zgoda skończyła się, gdy zostali „sami swoi”. Niemcy podziwiani byli przez Polaków za planowość działania, przestrzeganie porządku i reżimu dnia. U nich na wszystko była przeznaczona odpowiednia pora. Nie podobała się tylko ich kuchnia. Na obiad jadali koty, a ja zapamiętałam ohydny Mehlssuppe, którą mnie poczęstowała sąsiadka Niemka.

Krytykowali nasi również to, że obory i stajnie przylegały do budynków mieszkalnych, a zapach i muchy przenikały do izb. W niedzielę niemiecki ksiądz odprawiał mszę świętą, na którą zgodnie szły obie narodowości.

I tu wspomnę powojenne tragedie dziejące się w polskich rodzinach w Pławnej. Wstrząsnęły one moją dziecięcą duszą tak, że do dziś je pamiętam. Ludzie przyjechali na Ziemię Odzyskane nie tylko z własnych domów na Wschodzie, ale też i z dalekiej Syberii. Wycieńczeni, z różnymi chorobami, a prym wiodła gruźlica. Nie mogę zapomnieć, jak ojciec 20-letniej córki na każdej Mszy Świętej leżał krzyżem przed ołtarzem (Św. Tekli), modląc się o zdrowie dla swego dziecka. Niestety, dziewczyna zmarła. Inny przykład. Młody 22-letni chłopak błagał rodziców, żeby go ratowali. Chciał żyć. Był młody. Czegoż ci ludzie nie robiliby ich syn nie umarł. I tu śmierć zatryumfowała. W obu przypadkach żniwo zebrała gruźlica. W bliskim naszym sąsiedztwie rozstała się z życiem przez tę

chorobę młoda kobieta. Osierociła roczną córeczkę. Parę domów dalej odeszła 17-letnia śliczna dziewczyna. Przyczyna ta sama. To były czasy tragedii ludzkich będących konsekwencjami wojny. Świtała jednak nadzieja na nowe, normalne życie. Za parę miesięcy po przyjeździe ze Wschodu były Święta Bożego Narodzenia. Ileż to było radości i nowości dla mnie 5-letniego dziecka.

Po raz pierwszy zobaczyłam śliczne błyszczące bombki na choince, srebrną lametę, którą wtedy nazywaliśmy „anielskie włosy”. Już nie wisały na drzewku aniołki wycięte przez mamę z gazety, jak jeszcze rok wcześniej. Płonęły prawdziwe świece. Były prawdziwe prezenty. O właśnie! Dostałyśmy z siostrą pierwsze piękne lalki. Nigdy wcześniej takich nie miałyśmy. Przyjechali wujostwo z Krakowa – biedacy z Jeleniej Góry do Pławnej szli pieszo, bo pociągi tamtędy jeszcze nie kursowały. Odnaleźli się inni krewni. Odezwał się ojca bratanek. Osiadł na stałe w Anglii. Wędrował z Syberii do Armii Andersa. Uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino. Ocalał! Cóż to była za radość – szczególnie dla ojca, którego niemal cała rodzina była jeszcze na syberyjskiej ziemi. Na wieki zostali w tajdze dziadkowie Korzeniewicz i stryj Mikołaj.

Zjawiali się nie tylko ci oczekiwani. Zaczęły się najazdy różnych cwaniaków, złodziei i szabrowników. Jak już wspomniałam, niemieckie gospodarstwa były dobrze wyposażone. Gospodynie miały piękną porcelanę, szkło, sztucce. Pamiętam te cacka: śliczne patery na torty, piękne koszyczki z kolorowego szkła na owoce. U nas w domu też był taki. Stał na srebrnej nóżce, na której umocowany był klosz w kwiatki z niebieskiego szkła i do tego miał kabłąk ze srebrnego metalu. Śliczny. Potem upadł i stłukł się. Szkoda, że porcelana też jest taka krucha. Potłukły się piękne serwisy do kawy, zielone kieliszki do wina na wysokich nóżkach, porcelanowe figurki. Do wsi przyjeżdżały handlary z dużych miast. Kupowały te kruche cuda, a także lisy, futra, złoto. Niemcy sprzedawali swój dobytek, bo wiedzieli, że i tak wszystkiego ze sobą nie zabiorą. Kiedy już wyjechali, pozostało po nich wiele niezamieszkałych domów. Cóż to były za ciekawe przygody dla dzieci – buszowanie po tych chatkach. Mnie mama nie pozwalała w tym uczestniczyć. Jako dziecko miejscowych nauczycieli miałam wbijane do głowy, że muszę być wzorem dla innych dzieci, a więc zawsze grzeczna. To „bycie wzorem” stało się dla mnie przekleństwem przez wszystkie lata podstawówki w Pławnej. Odetchnęłam dopiero w liceum ogólnokształcącym we Lwówku. Tam już mogłam być taka, jak inne dzieci, a niechodzącym ideałem, którego nikt nie lubi.

Życie zaczęło nabierać cech normalności. Ojciec parę lat po wojnie pracował w Inspektoracie Oświaty we Lwówku Śląskim. Pamiętam te pełne napięcia dni w domu, kiedy jechał do Wrocławia po pieniądze na pensje nauczycielskie. Podróżował z woreczkiem na piersiach w strachu i niepewności, czy go żule nie okradną, a mama drżała, dopóki nie zjawił się w domu. Ciężkie były te lata powojenne. Zarobki mizerne. Głodu i biedy jednak nie zazналиśmy. Była nasza krówka, ogród, kury, króliki, a potem świnia. Pracy nie brakowało. Nie było pralek, lodówek, odkurzaczy. Wodę nosiło się ze studni. Obiad gotowano na płycie, pod którą trzeba było palić. Rodzice po powrocie ze szkoły pracowali przy domowym gospodarstwie, a wieczorami siedzieli nad zeszytami i robili pomoce naukowe. Szkoła rozrastała się liczebnie, więc szukano dla niej innych pomieszczeń. W 1948 roku przeniesiono miejsce lekcji z naszego domu do Pławnej Średniej. Wynajmowano tam izby lekcyjne w starym spichlerzu, nad sklepem i w domu przy kościele. Potem oddano szkole budynek, w którym uczyły się klasy od V do VII. Rodzice codziennie przemierzali 2, 5 km w jedną i w drugą stronę. Mama najczęściej niosła jeszcze zeszyty i pomoce naukowe (własnej roboty) dla maluchów z I klasy. Przypominam sobie te klasowe podłogi wysmarowane pyłochłoniem, trzaskające ogniem kaflowe piece, picie tranu w szkole. W jednej sali stała poniemiecka katedra dla nauczyciela. Był to taki śmieszny trochę mebel – przypominał konfesjonał. Od czasu do czasu przyjeżdżały kontrole służby zdrowia. Sprawdzały, czy w łebkach uczniów nie ma wszy. Często je znajdowano, a wtedy środkiem zaradczym był azotox. Tępił wszystko: muchy, pchły, wszy, a także „zrzuconą przez kapitalistów z USA” stonkę ziemniaczaną.

Rodzice żyli bardzo blisko z mieszkańcami wsi. Uczestniczyli w ślubach, pogrzebach, chrzcinach. Mamę poproszono, by została chrzestną syna pani Basi – znajomej z transportu, który nas przywiózł do Pławnej. Moja rodzicielka angażowała się bardzo w życie wsi. Uczyła sąsiadki pieczenia tortów, szycia, udzielała praktycznych porad ze wszelkich dziedzin życia. Prowadziła też w naszym domu kurs dla analfabetów.

Ojciec całe swoje życie udzielał się społecznie. Zresztą bardzo to lubił. Organizował akcje żniwne i dożynki. Założył we wsi szkołę przysposobienia rolniczego. Często jeździł po okolicznych wsiach z odczytami na tematy uprawy roślin. Nierzadko był proszony o interwencję w różnych sprawach prywatnych wieśniaków. Tu przypomina mi się taka historia. Późną nocą zapukała do naszego okna kobieta wołając z płaczem „Panie nauczycielu, ratuj moją córkę, bo zięć chyba już ją zabił”. Ojciec zerwał się z łóżka i pobiegł do nich. Co się stało? Otóż wyhodowali i sprzedali świnie. Dostali

pieniądze i zięć chciał, żeby podzielić je na trzy równe części: dla niego, żony i teściowej. Nie zgadzała się matka, która twierdziła, że jej nakład pracy był największy i chce większej sumy. Zaczęła się wielka kłótnia i krewka mamuśka chwyciła gar z wrzątkiem i chlusiła na zięcia. Ten, poparzony, zaczął bić na oślep obie kobiety, a że uciekły, to nic im strasznego nie zrobił. Ojciec wysłuchał żalów całej trojki, wydał wyrok (dać teściowej ciut więcej) i poradził iść po pomoc medyczną do zakonnic. Godził, więc mój tata zwaśnione małżeństwa, skłóconych współników (najczęściej nieskutecznie), pisał ludziom podania, listy. Raz nawet młody chłopak prosił ojca, by wyswatał go z upatrzoną dziewczyną. Niestety, sprawa była beznadziejna, bo panna kochała innego. Pracował w szkole do końca swoich dni – ostatnie 11 lat w Jeleniej Górze. Zmarł mając niespełna 75 lat. Dziesięć miesięcy po żonie.

Dzisiaj szkoła w Pławnej mieści się w budynku szkolnym z prawdziwego zdarzenia. Jest duża i ładnie położona wśród łąk. Pracują w niej już inni nauczyciele. Nie ma moich rodziców Heleny i Terencjusza Korzeniewiczów. Nie żyje zacna pani Genowefa Karpowa – wieloletnia kierowniczka szkoły. Zapamiętałam ją, jako osobę niezwykle szlachetności, samotną matkę dwójki dzieci – wojna poplątała jej życie. Jej syn – mój kolega z klasy – został księdzem, córka lekarzem.

Odeszła pani Stanisława Bekus, księża, którzy uczyli w Pławnej religii. Pozostała tylko pamięć o nich – bohaterach trudnych powojennych lat.

Pociąg do Świeradowa, który był sensacją w 1947 roku, po wielu latach zlikwidowano. Najpierw długo, długo porastała tory trawa, a jakiś czas temu wybudowano na nich ścieżkę rowerową. I dobrze. Świat musi się zmieniać i iść naprzód, a każde pokolenie powinno zostawić jakiś dorobek, będący śladem jego egzystencji na tej ziemi.